

SZEŚĆ ZAPALEK

1

Inspektor odłożył notes na bok i powiedział:

— Bardzo skomplikowana sprawa, towarzyszu Lehman. Bardzo dziwna sprawa.

— Nie uważam — odparł dyrektor instytutu.

— Nie uważacie?

— Nie, nie uważam. Według mnie wszystko jest jasne.

Dyrektor mówił sucho, przyglądając się ze skupieniem czemuś na pustym, wyasfaltowanym, zalanym słońcem placu za oknem. Już dawno rozboleł go kark — na placu nie działał się absolutnie nic ciekawego. Ale dyrektor uparcie nie zmieniał pozycji. W ten sposób manifestował swój protest. Dyrektor był młody i ambitny. Rozumiał doskonale, co inspektor ma na myśli, ale uważał, że inspektor nie ma prawa ingerować w sprawę od tej strony. Irytowało go uporczywe naleganie inspektora. „Zgłębia — myślał ze złością. — Wszystko jest jasne jak czekolada, ale on zgłębiał”

— Ale dla mnie nie wszystko jeszcze jest jasne — powiedział inspektor.

Dyrektor wzruszył ramionami, spojrzął na zegarek i wstał.

— Przepraszam was, towarzyszu Rybnikow — rzekł. — Za pięć minut mam seminarium. Jeżeli nie jestem już wam potrzebny...

— Proszę bardzo, towarzyszu Lehman. Ale chciałbym jeszcze porozmawiać z tym... jak mu tam, osobistym laborantem. Gorczyński, o ile się nie mylę?

Gorczyński. Jeszcze nie wrócił. Jak tylko wróci, zaraz go do was poproszę. Dyrektor skłonił się i wyszedł. Inspektor popatrzył za nim przymrużając oczy. „Jesteś trochę lekkomyślny, kochasiu — pomyślał. — Dobrze, przyjdzie i na ciebie kolej”.

Ale kolej na dyrektora jeszcze nie przyszła. Najpierw trzeba było zorientować się w sprawie dokładnie. Na pierwszy rzut oka rzeczywiście wszystko było jak gdyby zupełnie proste. Inspektor Urzędu Bezpieczeństwa Pracy mógłby już teraz przystąpić do sprawozdania ze sprawy Andrzeja Komlina, kierownika fizycznego laboratorium Centralnego Instytutu Mózgu. Andrzej Komlin przeprowadzał na sobie niebezpieczne doświadczenia i już czwarty dzień leży na łożu szpitalnym w półśnie, pół malignie, z odrzuconą w tył okrągłą, porastającą najeżoną szczecinką włosków czaszką, pokrytą plamami sińców. Nie może mówić, lekarze podtrzymują go tylko środkami wzmacniającymi, a na konsyliach często i złowrogo padają słowa: „Silne wyczerpanie nerwowe, porażenie ośrodków pamięci, porażenie ośrodków mowy i słuchu...”

W sprawie tej wszystko, co mogło interesować UBP, było zupełnie jasne. Wiadomo, że nie miało tu miejsca uszkodzenie maszyn, niedbałe obchodzenie się z nimi, brak doświadczenia pracowników. Wiadomo, że nie przekroczone przepisów bezpieczeństwa pracy — przynajmniej w ogólnie przyjętym pojęciu. Wiadomo wreszcie, że Komlin przeprowadzał eksperymenty na sobie w tajemnicy, nikt w instytucie o tym nie wiedział, nawet Aleksander Gorczyński „osobisty” laborant Komlina, chociaż na ten temat niektórzy pracownicy instytutu mieli cokolwiek odmienne zdanie.

Inspektora interesowało co innego. Nie był to zwykły inspektor-urzędnik. Zmysł starego pracownika naukowego mówił mu, że za fragmentarycznymi wiadomościami o pracy Komlina, którymi rozporządzał, poza niezrozumiałym nieszczęśliwym przypadkiem Komlina kryje się

historia jakiegoś niezwykłego odkrycia. Odtwarzając w pamięci zeznania pracowników laboratorium, inspektor był tego coraz bardziej pewny.

Na trzy miesiące przed katastrofą laboratorium otrzymało nową aparaturę. Był to neutrinowy generator, przyrząd do wytwarzania i ogniskowania wiązek neutrino. I właśnie z chwilą zainstalowania tego generatora w laboratorium fizycznym, zaczął się szereg wydarzeń, na które we właściwym czasie nie zwrócili uwagi ci, do których to należało, wydarzeń, które w konsekwencji spowodowały nieszczęście.

W tym właśnie okresie Komlin z nieukrywanym zadowoleniem przerzucił całą poprzednio rozpoczętą pracę na barki swego zastępcy, zamknął się w pokoju, w którym zainstalowano generator neutrinowy, i przystąpił, jak wszystkim zapowiedział, do przygotowania serii doświadczeń wstępnych. Trwało to kilka dni. Następnie Komlin niespodziewanie opuścił swoją samotnię, zrobił zwykły obchód całego laboratorium, trzy osoby zwymyślał publicznie, podpisał papierki i polecił zastępcy zabrać się do półrocznego sprawozdania. Następnego dnia zamknął się z powrotem w „neutrinniku”, zabierając tym razem ze sobą laboranta, Aleksandra Gorczyńskiego.

Co tam robili, stało się wiadome dopiero niedawno, na dwa dni przed nieszczęśliwym przypadkiem, gdy Komlin (przy współudziale Gorczyńskiego) wygłosił wspaniały, „wstrząsający podstawami medycyny” referat o neutrinowej akupunkturze. Ale jeszcze wcześniej, w okresie trzymiesięcznej pracy nad generatorem, zachowanie Komlina zadziwiło kolegów.

Zaczęło się od tego, że pewnego pięknego dnia Komlin ogolił sobie głowę i zjawił się w laboratorium w czarnej, profesorskiej mycce. Nikt może nie zapamiętałby tego faktu, gdyby nie to, że w godzinę później Gorczyński wyskoczył z „neutrinnika” błądy, rozczochrany i „przewracając wszystkie szafy po drodze”, jak się ktoś malowniczo wyraził, popędził do laboratoryjnej apteczki. Wyciągnął z niej kilka opatrunków indywidualnych i w tym samym tempie wrócił do „neutrinnika”, zatraskując za sobą drzwi. Jeden z pracowników zdążył zobaczyć, że Komlin stał przy oknie, odwrócony tyłem, ze lśniąca nagą czaszką i podtrzymywał prawą ręką lewą. Na lewej ręce miał jakieś ciemne plamy, prawdopodobnie krew. Wieczorem Komlin i Gorczyński wyszli po cichu z „neutrinnika” i nie patrząc na nikogo skierowali się do wyjścia. Obaj robili wrażenie przygnębionych, a lewa ręka Komlina była owinięta brudnym bandażem.

Pracownicy zapamiętali jeszcze inny fakt. W miesiąc później młodszy asystent naukowy Wiedeniejew spotkał Komlina wieczorem w ustronnej alejce Błękitnego Parku. Kierownik laboratorium fizycznego siedział na ławce trzymając na kolanach grubą postrzępioną książkę i mrucał coś pod nosem, patrząc w przestrzeń. Wiedeniejew przywitał się i usiadł koło niego. Komlin natychmiast przestał mruzczyć i zwrócił się w jego stronę, dziwnie wyciągając szyję. Oczy miał jakieś „zapleśniałe” i Wiedeniejew doznał nieprzewyciężonej chęci, żeby się czym prędzej oddalić. Nie wypadało jednak uciec tak od razu, więc zapytał:

— Czyta pan sobie?

— Czytam — odparł Komlin. — Szi Naj Ań „Mielizny rzeczne”. Bardzo interesujące. O tu, na przykład...

Wiedeniejew był zbyt młody, aby znać klasykę chińską, i poczuł się jeszcze bardziej skrępowany, ale Komlin zatrzasnął nagle książkę, podał ją Wiedeniejewowi i poprosił, aby otworzył ją na chybił trafił. Z lekka zmieszany asystent spełnił jego prośbę. Komlin rzucił okiem na kartkę („zerknął tylko przelotnie”), kiwnął głową i powiedział:

— Sprawdzajcie według tekstu.

I zaczął swym zwykłym głosem, dźwięcznie i wyraźnie opowiadać o tym, jak pewien Chu Jań Dżo machnął stalowym kańczugiem i rzucił się na niejaki Che Dżunia i Se Bao i jak pewien „Krótkołapy tygrys” Wan In i jego małżonka „Zielona”... Dopiero w tym miejscu Wiedeniejew zorientował się, że Komlin recytuje całą stronę na pamięć. Kierownik laboratorium fizycznego nie

opuścił ani jednej linijki, nie przekreślił ani jednego nazwiska, wyrecytował wszystko słowo w słowo, litera za literą. Po skończeniu zapytał:

— Czy były błędy?

Oszołomiony Wiedeniejew potrząsnął głową. Komlin roześmiał się, zabrał książkę i odszedł. Wiedeniejew nie wiedział, co o tym myśleć. Opowiedział o wydarzeniu paru kolegom, którzy poradzili mu, aby zwrócił się do Komlina o wyjaśnienie. Ale Komlin przyjął słowa o spotkaniu w ustronnej alei z tak szczerym zdumieniem, że Wiedeniejew stropił się i zmienił temat rozmowy.

Najdziwniejsze jednak rzeczy zdarzyły się dosłownie na parę godzin przed katastrofą.

Owego wieczoru Komlin — wesoły, dowcipny, towarzyski jak nigdy — pokazywał sztuki magiczne. Widzów było czworo — Aleksander Gorceżyński, nie ogolony i zakochany w kierowniku jak pensjonarka, i trzy młodziutkie laborantki — Lena, Dusia i Katia. Dziewczęta zatrzymały się dłużej w laboratorium, żeby skończyć plan jutrzejszej pracy.

Sztuczki były interesujące.

Na początku Komlin proponował, że kogoś zahypnotyzuje, ale nikt się nie zgodził i kierownik laboratorium opowiedział anegdotkę o chirurgu i hypnotyzerze. Potem powiedział:

— Lenoczka, chcesz, to odgadnę, co schowasz do szuflady w biurku.

Spośród trzech schowanych przedmiotów odgadł dwa i Dusia powiedziała, że podgląda. Komlin zaprotestował, dowodził, że nie, ale dziewczęta zaczęły z niego żartować i wtedy Komlin oznajmił, że umie gasić ogień wzrokiem. Dusia chwyciła pudełko zapalek, odbiegła w odległy kąt pokoju, zapaliła zapalniczkę, płomyk rozpalił się i nagle zgasł. Wszyscy byli strasznie zdziwieni i popatrzyli podejrzliwie na Komlina. Kierownik stał z rękami skrzyżowanymi na piersiach i groźnie zmarszczonymi brwiami, w pozie zawodowego magika — prestidigitatora.

— Ale płuca! — powiedziała Dusia z szacunkiem. Stała od Komlina w odległości co najmniej dziesiętni kroków. Wówczas Komlin zaproponował, żeby mu zawiązali usta chustką. Zrobili tak i Dusia znów zapaliła zapalniczkę. Zapalniczka zgasła tak samo jak pierwsza.

— Czyż doprawdy gasicie nosem? — zdumiała się Dusia, a Komlin roześmiał się, zerwał chustkę, chwycił Dusię w pól i zatańczył z nią walca.

Po czym pokazał jeszcze dwie sztuki: upuszczał zapalniczkę, która nie spadała pionowo, ale jakoś w bok, odchylając się pod dosyć dużym kątem. („Znowu dmuchacie...” — powiedziała niepewnie Dusia); położył na stole kawałek spiralki z wolframu i spiralka, zabawnie podskakując, pełzła po szklanym blacie i spadała na ziemię. Wszyscy byli oczywiście bardzo zdziwieni i Gorceżyński zaczął się domagać, żeby wytłumaczył, jak się to robi. Ale Komlin nagle spoważniał i zaproponował, że pomnoży w pamięci parę wielocyfrowych liczb.

Sześćset pięćdziesiąt cztery przez dwieście trzydzieści jeden przez szesnaście — powiedziała nieśmiało Katia.

— Zapisujcie — polecił Komlin dziwnym, pełnym napięcia głosem i zaczął dyktować: — Cztery, osiem, jeden... — głos zniżył mu się do szeptu i skończył jednym tchem: — siedem, jeden, cztery dwa. Od prawej do lewej.

Odwrócił się (dziewczęta zauważyły, że się jakoś od razu pochylił, zgarbił, jakby stał się niższy), powłócząc nogami skierował się do „neutrinnika” i zamknął się w nim od wewnątrz. Gorceżyński przez chwilę spoglądał za nim z niepokojem, a potem oznajmił, że kierownik policzył prawidłowo: jeżeli czytać wymienione przez niego cyfry z prawa na lewo, to wypadnie iloczyn — dwa miliony czterysta siedemnaście tysięcy, sto osiemdziesiąt cztery.

Dziewczęta pracowały do dziesiątej i Gorceżyński pomagał im, chociaż niewiele było z tej pomocy pożytku. Komlina wciąż nie było. O dziesiątej poszli do domu, powiedziawszy mu „dobranoc” przez drzwi. Rankiem Komlina zabrano do szpitala.

A więc „legalnym” wynikiem trzymiesięcznej pracy Komlina była „akupunktura neutrinowa” — metoda leczenia, oparta na napromieniowywaniu mózgu wiązkami neutrino. Nowa metoda była sama przez się bardzo interesująca — ale jaki związek z akupunkturą neutrinowa miała zraniona ręka Komlina? A jego niezwykła pamięć? A sztuki magiczne z zapałkami, spiralkami i mnożeniem w pamięci?

— Ukrywał. Ukrywał przed wszystkimi — mruknął inspektor. — Nie był pewny, czy bał się narazić towarzyszy? Skomplikowana sprawa. Bardzo dziwna sprawa.

Prztyknął wideofon. Na ekranie ukazała się twarz sekretarki.

— Przepraszam, towarzyszu Rybników — powiedziała sekretarka. — Jest towarzysz Gorceżyński i czeka na wasze wezwanie.

— Niech wejdzie — odparł inspektor.

2

Na progu ukazała się olbrzymia postać w kraciastej koszuli z podwiniętymi rękawami. Na potężnych ramionach wznosiła się równie potężna szyja zakończona głową porośniętą gęstwą czarnych włosów, przez które przeświecała jednak maleńka łysinka (czy też nawet dwie łysinki, jak się wydało inspektorowi). Postać wsuwała się do gabinetu tyłem. Zanim inspektor zdążył zdziwić się z tego powodu, właściciel kraciastej koszuli powiedział nie przestając się cofać: „Proszę bardzo panie dyrektorze” i przepuścił do gabinetu dyrektora. Następnie zamknął starannie drzwi, odwrócił się bez pośpiechu i uklonił się lekko. Twarz posiadacza kraciastej koszuli i dziwnego sposobu bycia była ozdobiona malutkimi, ale nader bujnymi wąsikami i miała, jak się wydawało, dosyć posępny wyraz. Tak wyglądał Aleksander Gorceżyński, „osobisty” laborant Komlina.

Dyrektor usiadł w fotelu i w milczeniu utkwiał wzrok gdzieś za oknem. Gorceżyński stanął przed inspektorem.

— A wy... — zaczął inspektor.

— Dziękuję — zahuczał laborant i usiadł, opierając dłonie na kolanach i wpatrując się w inspektora szarymi, nieprzychylnymi oczkami.

— Gorceżyński? — dokończył inspektor.

— Do usług. Aleksander Gorceżyński.

— Bardzo mi przyjemnie. Rybników, inspektor Urzędu Bezpieczeństwa Pracy.

— Bardzo się... cieszę — odparł Gorceżyński po krótkiej pauzie.

— „Osobisty” laborant Komlina?

— Nie wiem, co to znaczy. Jestem laborantem w fizycznym laboratorium Centralnego Instytutu Mózgu. — Gorceżyński poruszył wąsikami i spojrzał spod oka na dyrektora. Inspektorowi wydało się, że w kącikach warg dyrektora tai się złośliwy uśmieszek.

— Tak — powiedział Rybników. — Nad jakim zagadnieniem pracowaliście w ciągu ostatnich trzech miesięcy?

— Nad zagadnieniem akupunktury neutrinowej.

— Poproszę bardziej szczegółowo.

— Jest referat — powiedział Gorceżyński z naciskiem. — Tam jest wszystko przedstawione.

— A jednak poprosiłbym was o szczegóły — odrzekł bardzo spokojnie inspektor.

Przez parę sekund patrzyli sobie obaj prosto w oczy — twarz inspektora spąsowiała, Gorceżyński poruszał wąsikami. Potem laborant wolno zmrużył oczy.

— Proszę bardzo — zamruczał. — Mogę podać szczegóły. Badaliśmy działanie widma wiązek neutrino na szarą i białą substancję mózgową, a równocześnie na całokształt organizmu zwierzęcia doświadczalnego... — Gorczyński mówił monotonicznie, bez żadnego wyrazu i nawet jak gdyby się huśtał lekko na krześle.

— ...przy okazji ustalania patologicznych i innych zmian organizmu w ogólności, przeprowadzane były pomiary napięcia, ubywania różnicowego i krzywych labilności w różnych tkankach, jak również pomiary stosunkowej ilości neuroglobuliny i neurostrominy...

Inspektor oparł się mocniej o oparcie krzesła i myślał z pełną zachwyty wściekłością: „No, poczekaj tylko...” Dyrektor w dalszym ciągu wyglądał oknem, postukując palcami w biurko.

— A powiedzcie mi, towarzyszu Gorczyński, co wam jest w ręce? — przerwał niespodziewanie inspektor. Nie znosił defensywnej sytuacji. Lubił atakować.

Gorczyński spojrział na swoje ręce, spoczywające na poręczach fotela — ręce podrapane, pokryte sinymi, ledwo zaciągniętymi bliznami i zrobił taki ruch, jakby chciał schować je do kieszeni, ale powstrzymał się i tylko powoli zacisnął je w potężne pięści.

— Małpa mię podrapała — powiedział przez zęby. — W wiwarium.

— Robiliście doświadczenia wyłącznie na zwierzętach?

— Tak, ja robiłem doświadczenia wyłącznie na zwierzętach — odparł Gorczyński, akcentując lekko wyraz „ja”.

— Co za wypadek miał Komlin dwa miesiące temu? — inspektor atakował.

Gorczyński wzruszył ramionami.

— Nie pamiętam.

— Przypomnę wam. Komlin skaleczył się w rękę. Jak się to stało?

— Skaleczył się i już! — odparł szorstko Gorczyński.

— Towarzyszu Gorczyński! — odezwał się ostrzegawczo dyrektor.

— Zapytajcie jego samego.

Jasne, szeroko rozstawione oczy inspektora zwężyły się.

— Zdumiewacie mnie, Gorczyński — powiedział cicho. — Jesteście przekonani, że chce wyciągnąć z was coś takiego, co może zaszkodzić Komlinowi albo wam, albo jeszcze komuś z waszych kolegów. A przecież to jest zupełnie prosta sprawa. Chodzi o to, że nie jestem specjalistą w dziedzinie centralnego układu nerwowego. Jestem specjalistą w dziedzinie optyki elektronowej. I to wszystko. A sędzić na podstawie własnych wrażeń nie mam prawa. I zostałem skierowany do tej pracy nie po to, żeby się domyślać, ale po to, żeby wiedzieć. A wy się zachowujecie jak histeryczka. Wstyd...

Zapadło milczenie. Dyrektor zrozumiał nagle, na czym polega siła tego flegmatycznego upartego człowieka. Gorczyński musiał to również zrozumieć, gdyż odezwał się wreszcie, nie patrząc na nikogo:

— Czego chcecie się dowiedzieć?

— Co to jest akupunktura neutrinowa? — zapytał inspektor.

— To idea towarzysza Komlina — powiedział ze znużeniem Gorczyński. — Napromieniowanie wiązkami neutrinowymi niektórych ośrodków kory mózgowej wywołuje zjawisko... ściślej mówiąc ostre przeciwdziałanie organizmu na różnego rodzaju chemiczne i biologiczne zatrucia. Zakażone i zatrute psy odzyskiwały zdrowie po dwóch, trzech nakłuczeniach neutrinowych. W tym jest jakaś odległa analogia do akupunktury — leczenia nakłuwaniem. Stąd powstała nazwa metody. Rolę igły odgrywa wiązka neutrino. Oczywiście jest to tylko zewnętrzne podobieństwo...

— A metodyka? — zapytał inspektor.

— Wygala się czaszkę zwierzęcia i do gołej skóry przystawia się neutronowe przyssawki. Wiązka przekształca się w widmo w określonej warstwie szarej substancji. To bardzo skomplikowana sprawa. Lecz najtrudniejszą rzeczą było znaleźć odpowiednie punkty, ośrodki kory mózgowej wywołujące mobilizację fagocytów w określonym kierunku.

— Bardzo interesujące — zupełnie szczerze powiedział inspektor. — I jakie choroby można leczyć w ten sposób?

Gorczyński odpowiedział po chwili milczenia:

— Wiele chorób. Towarzysz Komlin przypuszcza, że akupunktura neutronowa mobilizuje jakieś nie znane nam siły organizmu. Nie fagocyty, nie bodźce nerwowe, lecz jeszcze coś innego, znacznie potężniejszego. Ale nie zdążył... Mówił, że za pomocą nakłuć neutronowych będzie można leczyć wszelkie choroby. Zatrucia, choroby serca, złośliwe nowotwory...

— Raka?

— Tak. Oparzenia... możliwe, że da się przywracać utracone organy. Twierdził, że uzdrawiające siły organizmu są olbrzymie, a klucz do nich znajduje się w korze mózgowej.

Trzeba tylko znaleźć w korze odpowiednie punkty do stosowania nakłuć.

— Akupunktura neutronowa — powoli, jakby rozsmakowując się w tym słowie, powtórzył inspektor. Potem opamiętał się nagle. — Doskonale, towarzyszu Gorczyński. Jestem wam bardzo wdzięczny. (Gorczyński uśmiechnął się krzywo). A teraz bądźcie łaskawi, opowiedzcie, w jakich okolicznościach znaleźliście Komlina. Przecież to wy, zdaje się, znaleźliście go po wypadku.

— Tak, znalazłem go pierwszy. Przyszedłem rano do pracy. Towarzysz Komlin siedział... leżał w fotelu przy biurku.

— W „neutrinniku”?

— Tak, w pomieszczeniu, w którym znajduje się generator neutronowy. Na czaszce miał nabój z przyssawkami. Generator był włączony. Wydało mi się, że towarzysz Komlin nie żyje. Wezwałem lekarza. I to wszystko.

Głos Gorczyńskiego załamał się nagle. Było to tak niespodziewane, że inspektor powstrzymał się na chwilę, nim zadał następne pytanie. „Tak, tak” — wystukiwał dyrektor patrząc w okno.

— A nie wiecie, jakie doświadczenia przeprowadzał Komlin?

— Nie wiem — odparł laborant głuchym głosem. — Nie wiem. Na biurku przed nim stała waga laboratoryjna, leżały dwa pudełka zapalek. Z jednego zapalki były wysypane...

— Poczekajcie chwilę — inspektor zerknął na dyrektora i znowu przeniósł wzrok na Gorczyńskiego. — Zapalki? Zapalki... Do czego były potrzebne zapalki?

— Zapalki — powtórzył Gorczyński. — Leżały na kupce. Niektóre były sklezione — po dwie, po trzy. Na jednej szalce wagi leżało sześć zapalek. A obok kartka papieru z liczbami. Komlin ważył zapalki. To pewnie, sam sprawdziłem. Liczby się zgadzają.

— Zapalki... — mruknął inspektor. — Chciałbym wiedzieć, do czego mu to było potrzebne... Czy macie jakieś przypuszczenia na ten temat?

— Nie — odrzekł Gorczyński.

— I wasi współpracownicy opowiadali... — inspektor w zadumie potarł ręką podbródek. — Te sztuczki... z ogniem, z zapalkami... Komlin musiał widocznie pracować jeszcze nad jakimś zagadnieniem, niezależnie od akupunktury neutronowej. Ale nad jakim? Gorczyński milczał.

— I doświadczenia na sobie robił niejednym razem. Skóra na jego czaszce jest cała pokryta śladami tych przyssawek.

Gorczyński milczał w dalszym ciągu.

— Czy nigdy przedtem nie zauważyliście, żeby Komlin miał zdolności do szybkiego liczenia w pamięci? Mam na względzie „przedtem”, nim pokazywał swoje sztuczki?

— Nie — odparł Gorczyński. — Nie spostrzegąłem. Nie spostrzegąłem nic podobnego. Teraz wiecie już tyle co i ja. Tak, towarzysz Komlin robił doświadczenia na sobie. Badał na sobie działanie igły neutrinowej. Tak, zaciął się brzytwą w rękę. Chciał sprawdzić na sobie samym, jak igła neutrinowa goi rany. Nie udało się... wtedy. I równolegle prowadził w tajemnicy przed wszystkimi jakieś inne badania. I przede mną też. Co to były za badania — nie wiem. Wiem tylko, że również pozostawały w związku z promieniowaniem neutrinowym. I to wszystko.'

— Czy ktoś oprócz was wiedział o tym? — zapytał inspektor.

— Nie. Nikt nie wiedział.

— I nie wiecie, jakie doświadczenia przeprowadzał Komlin bez waszego udziału?

— Nie.

— Dziękuję — powiedział inspektor. — Możecie odejść. Gorczyński wstał i nie podnosząc oczu, skierował się do drzwi. Inspektor patrzył na tył jego głowy. Na potylicy bieleły się dwie łysinki — nie jedna, ale właśnie dwie, tak jak mu się od początku wydało.

Dyrektor spoglądał w okno. Nisko nad placem zawisł niewielki śmigłowiec. Kadłub, połyskując ręciovym blaskiem srebra, kołysząc się nieco obracał się wolno wzdłuż własnej osi. Wylądował. Otworzyły się drzwiczki, wychylił się z nich pilot w szarym kombinezonie, lekko zeskoczył na asfalt i skierował do instytutu, zapalając po drodze papierosa. Dyrektor poznał śmigłowiec inspektora. „Latał po paliwo” — pomyślał z roztargnieniem.

Inspektor zapytał:

— A czy akupunktura neutrinowa nie powoduje zaburzeń psychicznych?

— Nie — odparł dyrektor. — Komlin twierdzi, że nie powoduje.

Inspektor przechylił się w fotelu i zaczął wpatrywać się w matową biel sufitu.

Dyrektor odezwał się półgłosem:

— Gorczyński będzie już dziś niezdolny do pracy. Niepotrzebne to wszystko...

— Nie — zaprzeczył inspektor. — Potrzebne. Wybaczcie, ale dziwię się wam, towarzyszule Lehman. Ile, waszym zdaniem, łysin może mieć normalny człowiek? I te blizny na rękach... Godny uczeń Komlina.

— Ludzie kochają swoją pracę — rzekł dyrektor.

Inspektor przez parę sekund wpatrywał się w niego milcząco, z całej siły zaciskając szczękę.

— Źle ją kochają — powiedział wreszcie — po staremu, towarzyszule Lehman. I wy tych ludzi źle kochacie. Jesteśmy bogaci. Jesteśmy najbogatszym państwem na świecie. Dajemy wam każdą aparaturę, każdy rodzaj zwierząt doświadczalnych, w dowolnej ilości. Pracujcie, badajcie, eksperymentujcie... Dlaczego więc tak lekkomyślnie trwonicie kapitał ludzki? Kto wam pozwolił na takie ustosunkowanie do życia ludzkiego?

— To jest pierwszy wypadek w naszym instytucie — powiedział gniewnie dyrektor.

Inspektor pokręcił głową.

— W waszym instytucie... A w innych instytucjach? A w przedsiębiorstwach? Komlin — to ósmy przypadek w ciągu ostatniego półrocza. Barbarzyństwo! Bohaterstwo dzikusów! Pchają się do raket automatycznych, do auto-batyskafów, do reaktorów o najwyższym napięciu... — z trudnością zdobył się na ironiczny uśmiezek. — Szukają najkrótszej drogi do prawdy, do zwycięstwa nad przyrodą. I często giną. I oto wasz Komlin — ósmy. Czy to jest dopuszczalne, profesorze Lehman?

Dyrektor z uporem zmarszczył brwi.

— To jest czasem nieuniknione. Przypomnijcie sobie lekarzy, którzy zaszczepiali sobie cholere i dżumę.

— Też macie się na co powoływać. Analogie historyczne... Pomyślcie, w jakich czasach żyjemy!

Umilkli obaj. Zapadał wieczór, w oddalonych od okien kątach gabinetu narastały szare, przejrzyste cienie.

— Nawiasem mówiąc — odezwał się nagle dyrektor nie patrząc na swego rozmówcę — poleciłem otworzyć safes Komlina. Przyniesiono mi jego robocze notatki. Myślę, że będziecie chcieli również się z nimi zapoznać.

— Ma się rozumieć — rzekł inspektor.

— Ale — dyrektor uśmiechnął się blado — w nich jest wiele... hm... rzeczy specjalistycznych. Rzuciłem tylko na nie okiem i boję się, że te notatki mogą być dla was niezrozumiałe. Wezmę je ze sobą na dzisiejszy wieczór i jeżeli chcecie, spróbuję zrobić dla was konspekt...

Inspektor ucieszył się szczerze.

— Nie spodziewajcie się jednak po mnie za wiele — uprzedził pośpiesznie dyrektor. — Te igły neutrinowe... To spadło na nas wszystkich jak grom z jasnego nieba. Nikt sobie nic podobnego nie wyobrażał. Komlin jest tu pionierem, pierwszym na świecie. Więc może się okazać, że dla mnie to też będzie nad siły.

Dyrektor wyszedł.

Może notatki Komlina coś pomogą. Inspektor bardzo chciał, żeby pomogły. Wyobraził sobie Komlina z nabojem neutrinowych przyssawek na nagiej czaszce, ważącego sklezione zapalki. Nie, to nie akupunktura. To coś zupełnie nowego i Komlin nie dowierzał widocznie sobie samemu, jeżeli przeprowadzał takie straszne doświadczenia w tajemnicy przed kolegami.

Piękne czasy, dobre czasy. Czwarte pokolenie komunistów, odważni, pracujący z samozaparciem ludzie. Jak dawniej nie dbają o siebie, przeciwnie, z każdym rokiem śmieiej idą w ogień i trzeba ogromnych wysiłków, aby spożytkować ten ocean zapalu z możliwie najlepszym wynikiem. Nie po trupach swych najlepszych przedstawicieli, lecz za pomocą potężnych maszyn i najbardziej precyzyjnych przyrządów powinna ludzkość dążyć do opanowania Przyrody. I nie tylko dlatego, że żywi mogą zrobić o wiele więcej, niż zrobili martwi, ale i dlatego, że najcenniejszą rzeczą w świecie jest Człowiek.

Inspektor podniósł się z trudem i skierował ku drzwiom. Poruszał się powoli. Po pierwsze — bo leżało to w jego naturze; po drugie wpływał na to wiek; po trzecie — noga.

— Stare rany dokuczają — mruczał pod nosem, gdy wędrował przez pustą poczekalnię dyrektora, mocno utykając na prawą nogę.

3

Wczesnym rankiem następnego dnia, właśnie o tej porze, gdy lekarze, którzy zresztą nie potrafili określić przyczyny choroby, stwierdzili z radością, że Komlin odzyskuje mowę — właśnie o tej samej porze Rybników i Lehman siedzieli w gabinecie dyrektora przy ogromnym, pustym biurku. Inspektor trzymał na kolanach notes — przed dyrektorem leżał stos papierów — notatki, wykresy, szkice i nawet rysunki — robocze notatki Andrzeja Komlina.

Dyrektor mówił szybko, czasem chaotycznie, patrząc zaczerwienionymi po bezsennej nocy oczyma gdzieś poza inspektora, chwilami przerywał, jak gdyby zdumiony własnymi słowami. Inspektor słuchał i coraz bardziej zrozumiał stawał się dla niego konsekwentny rozwój wypadków i powiązanie faktów. Oto, czego się dowiedział:

Napromieniowywaniem mózgu wiązkami neutrino Komlin zajął się bynajmniej nie przypadkowo. Po pierwsze, było to jeszcze zupełnie niezbadane zagadnienie. Metoda uzyskiwania

wiązek neutrino „praktycznej” zwartości była opracowana zupełnie niedawno i Komlin po otrzymaniu generatora neutrinowego postanowił go natychmiast wypróbować.

Po drugie, Komlin wiele się spodziewał po tych doświadczeniach. Promieniowanie wielkich energii (nukleony, elektrony, promienie gamma) powoduje uszkodzenie cząsteczkowej i wewnątrzatomowej struktury białka mózgu. Niszczy mózg. Nie jest w stanie wywołać w organizmie jakichkolwiek zmian prócz patologicznych. Doświadczenia to potwierdzają. Co innego neutrino, drobniutka, neutralna cząsteczka bez masy bezwładności. Komlin przypuszczał, że działanie neutrino nie spowoduje procesów rozpadowych ani przebudowy molekularnej, że neutrino może wywołać w jądrze białka mózgowego umiarkowane podniecenie, będzie wzmacniać pola jądrowe i być może wywoła w substancji mózgowej jakieś nowe, nie znane jeszcze nauce pola magnetyczne. Jak się okazało, wszystkie hipotezy Komlina wspaniale się potwierdziły.

— Nie wszystko z tych notatek zrozumiałem — przerwał sam sobie dyrektor — a w niektóre rzeczy nie mogę po prostu uwierzyć. Dlatego opowiem tylko o rzeczach najważniejszych — i o tym, co może rzucić światło na tę tajemniczą historię ze sztukami magicznymi. Chociaż to również jest dosyć nieprawdopodobne.

Po rozpoczęciu doświadczeń na zwierzętach Komlin od razu wpadł na pomysł neutrinowej akupunktury. Doświadczalna mała zraniła się w łapę. Rana zagoiła się niezwykle szybko. Tak samo szybko zniknęły z jej płuc ciemne plamy — ślady gruźlicy tak powszechnej wśród małych w klimacie umiarkowanym.

Praca nad akupunkturą neutrinową rozwijała się pomyślnie. Kilka psów zostało zatrutych różnymi rodzajami jądrowych biologicznych. Igła neutrinowa wyleczyła zwierzęta bardzo szybko, przy tym chromatografia wykazała, że prawie cały jad został przez zwierzęta wydzielony w postaci nie związanej. Igła Komlina (tak nazwał tę metodę Gorczyński) leczyła gruźlicę małych dziesięciokrotnie prędzej i skuteczniej niż najsilniejsze antybiotyki.

W okresie gdy Komlin nie opracowywał jeszcze metody leczenia a dowodził tylko jej zasadniczej możliwości, nie było istotnej potrzeby przeprowadzania eksperymentów na człowieku. W swym słynnym referacie Komlin wypowiadał przypuszczenie, że w organizmie człowieka i zwierzęcia istnieją ukryte siły uzdrawiające, na razie jeszcze nie zbadane, lecz już się przejawiające w doświadczeniach nad akupunkturą neutrinową. Wyłuszczał szczegółowo program przejścia od doświadczeń nad zwierzętami do doświadczeń z człowiekiem — program nader ostrożny, uwzględniający możliwość błędów, przewidujący stopniowe przechodzenie od najprostszych i bezwzględnie nie ryzykownych nakłuć neutrinowych do bardziej skomplikowanych i kombinowanych. Do tych doświadczeń miały być przyciągnięte duże zespoły lekarzy, fizjologów i psychologów. Ale...

Inspektor miał słusność. Komlin pracował nie tylko nad akupunkturą neutrinową. Bardzo szybko doświadczenia z generatorem neutrinowym wykazały, że niezwykle wzrost uzdrawiających sił organizmu jest bardzo ważnym, ale bynajmniej nie jedynym skutkiem naświetlania mózgu wiązkami neutrino. Zwierzęta doświadczone zachowywały się dziwnie. Nie wszystkie i nie zawsze. Ulezione krótkotrwałym działaniem igły neutrinowej zazwyczaj nie zdradzały żadnych odchyleń w zachowaniu, ale „ulubieńcy”, nad którymi przeprowadzono liczne i różnorakie doświadczenia, wprawiały obu badaczy w zdumienie. I to, w czym młody laborant Gorczyński widział tylko zabawne lub irytujące wysoki natury, naprowadziło intuicyjnie wielkiego uczonego Komlina na nowe odkrycie.

Pies Genek (spieszczenie od „generator”) zaczął nagle zdradzać skłonności do pokazywania sztuk cyrkowych, których go nikt nigdy nie uczył: chodził na tylnych albo nawet na przednich łapach, „witał się”, a Gorczyński zastał go kiedyś przy bardzo dziwnym zajęciu: pies siedział na

taborecie wpatrzony w jeden punkt i co pewien, określony czas, podnosił się i czekał krótko, po czym siadał z powrotem. Gorczyńskiego nie poznał i zawarczał na niego.

Komlina uderzył wypadek z pawianem Korą. Kora zaraz po naświetleniu siedziała z Komlinem w swoim pomieszczeniu i „rozmawiała” z nim spokojnie. Nagle przebiegł ją jak gdyby prąd elektryczny. Małpa zobaczyła coś w kącie, zawarczała groźnie i trwożnie, po czym jęła się cofać. Nie pomagały pieszczoty ani łagodne słowa. Kora ukryła się w przeciwległym rogu, zwinęła w kłębek i przesiedziała tak całą godzinę, obserwując coś niewidzialnego i od czasu do czasu wydając okrzyk — sygnał niebezpieczeństwa. Później jej to przeszło, ale Komlin zauważył ze zdziwieniem, że od tej chwili wchodząc do tego pomieszczenia Kora przede wszystkim spoglądała podejrzliwie w nieszczęsny kąt.

Pewnego dnia Gorczyński przybiegł do Komlina z krzykiem: „Prędejj, prędejj!” i pociągnął go do małpiarni. W jednej z klatek siedział młody hamadrian i jadł banan. Ani w bananie, ani w małpie nie było nic szczególnego, ale dozorca i Gorczyński zgodnie stwierdzali, że byli świadkami czegoś zgoła fantastycznego. Zastali hamadriana w momencie, gdy z wyraźnym zainteresowaniem obserwował kawałek papieru, powoli, lecz bez żadnej wątpliwości posuwający się po podłodze w jego stronę. Hamadrian sięgał łapą do papierka. Gorczyński popędził do Komlina. Dozorca twierdził, że małpa zjadła ten papierek, w każdym bądź razie w klatce go nie znaleziono. Próba powtórzenia tego zdumiewającego zjawiska zawiodła całkowicie.

— A oto związane z tym notatki Komlina — powiedział dyrektor, podając inspektorowi kawałek milimetrówki.

Inspektor przeczytał: „Zbiorowa halucynacja? Czy też coś nowego? Zbiorowa halucynacja z udziałem małpy już sama przez się byłaby rzeczą zdumiewającą. Ale coś się w tym kryje. Z tymi zwierzętami — małpami i psami — nic nie wyjdzie. Trzeba samemu”.

Komlin zaczął przeprowadzać doświadczenia na sobie. Gorczyński dowiedział się o tym dość prędko i nie omieszkał pójść za przykładem mistrza. Zdaje się, że na tym tle powstał między nimi ostry zatarg. W rezultacie Gorczyński przyrzekł, że więcej nie będzie eksperymentował, a Komlin obiecał mu, że będzie próbował na sobie tylko najprostszych, krótkotrwałych i bezpiecznych nakłuć. Gorczyński nie wiedział nawet, że Komlin przestał już zajmować się akupunkturą neutrinową.

— Niestety — ciągnął dyrektor — w notatkach Komlina jest niewiele informacji o rzeczywiście wstrząsających wynikach jego doświadczeń. Notatki stają się coraz bardziej urywkowe i niezrozumiałe, wyczuwa się, że często Komlin nie znajdował słów do określenia swych doznań i wrażeń, jego wnioski tracą logikę i wyrazistość.

Parę kartek wyrwanych z zeszytu poświęcił Komlin zdumiewającej zdolności zapamiętywania, którą w sobie zauważył po jednym z doświadczeń. Zanotował tak: „Wystarczy mi raz spojrzeć na jakiś przedmiot, abym, gdy zamknę oczy lub odwrócę głowę, widział go jak na jawie ze wszystkimi szczegółami. Wystarczy rzucić okiem na stronicę w książce, abym później odtworzył ją z pamięci według wyobrażenia, które odbiło się w moim mózgu. Zdaje się, że zapamiętałem na całe życie parę rozdziałów z „Mielizn rzecznych” i całą czterocyfrową tablicę logarytmów od pierwszej do ostatniej cyfry. Olbrzymie możliwości!”

W notatkach trafiają się również opisy bardziej szczegółowe:

„Pamięć, wiele bodźców i nawyków — pisał Komlin równym pismem, jakby rozważając — mają określoną, na razie nie znaną jeszcze podstawę materialną. To zasada elementarna. Wiązka neutрино przenika do tej podstawy i stwarza nową pamięć, nowe bodźce, nowe nawyki. Albo nie stwarza, tylko wywołuje zjawiska pośrednie. Tak było z Genkiem, Korą, ze mną (mnemogeneza — «powstawanie złudnej pamięci»”).

Najbardziej interesującemu i najbardziej zdumiewającemu ze wszystkich odkryć było poświęcone parę ostatnich kartek, spiętych spinaczem. Dyrektor wziął te kartki i podniósł je w górę.

— Tutaj — powiedział poważnie — znajduje się odpowiedź na wasze pytania. Jest to coś w rodzaju konspektu czy też brulionu przyszłego referatu. Przeczytać?

— Czytajcie — powiedział inspektor.

„Wysiłkiem woli nie można spowodować nawet mrugnięcia. Konieczny jest mięsień. Układ nerwowy gra rolę tylko nadawcy impulsu, nic ponadto. Znikomy rozkaz i kurczy się mięsień zdolny przesunąć dziesiątki kilogramów, wykonać pracę olbrzymią w porównaniu z energią bodźca nerwowego. Układ nerwowy — to zapalnik w prochowni, mięsień — to proch, skurcz mięśnia — wybuch”.

„Wiadomo, że wzmożenie procesu myślenia aktywizuje pola elektromagnetyczne powstające gdzieś w komórkach mózgowych. To są prądy czynnościowe. Sam fakt, że jesteśmy zdolni to odkryć, dowodzi, że proces myślenia oddziałuje na materię. Co prawda nie bezpośrednio. Przeprowadzam rachunek całkowity, wzmacnia się pole mózgowe, porusza się wskazówka przyrządu łowiącego i mierzącego to pole. Czyż to nie jest psychosilnik? Pole — mięsień mózgu”.

„Stwierdziłem że nabieram zdolności niezwykle szybkiego liczenia. Nie potrafię wyjaśnić, jak to robię. Liczę i koniec. $1\ 919\ X\ 237 = 454\ 803$. Liczyłem w pamięci z sekundomierzem w ręku — cztery sekundy. To bardzo pięknie, ale to zupełnie nie to. Pole elektromagnetyczne aktywizuje się gwałtownie, a inne pola, o ile istnieją? Mięsień jest rozwinięty. Ale jak nim kierować?”

„Udaje się. Spiralka z wolframu. Waga 4,732 grama. Zawieszona w próżni na nylonowej nici. Patrzyłem na nią po prostu i odchyliła się od pozycji pierwotnej o piętnaście z czymś stopni. To już coś. Wskaźniki generatora...”

— Rozmawiałem z Gorceżyńskim — wtrącił dyrektor po przeczytaniu szeregu liczb. — Dzisiaj w nocy. Widział klosz próżniowy z zawieszoną w nim spiralką. Potem ten przyrząd — zniknął, widocznie Komlin go zdemontował.

Pole psychodynamiczne — mięsień mózgu — pracuje. Nie wiem, jak to uzyskuje. I nie ma w tym nic dziwnego, że nie wiem. Co trzeba zrobić, żeby zgiąć rękę? Nikt nie odpowie na to pytanie. Żeby zgiąć rękę, zginam rękę. I to wszystko. A przecież biceps jest bardzo posłusznym mięśniem. Mięśnie trzeba ćwiczyć. Trzeba nauczyć się wywoływać skurcz mięśnia mózgu. Pytanie — jak?”

„Ciekawe — nie mogę podnieść ani jednego przedmiotu. Tylko przesuwam. I to nie dowolnie. Zapałki i papier — zawsze w prawo. Metale — ku sobie. Najlepiej udają się próby z zapałkami. Dlaczego?”

„Pole psychodynamiczne działa przez szklany klosz, a nie działa przez gazetę. Muszę widzieć przedmiot, żeby móc na niego oddziaływać. Powietrze (o ile dobrze rozumiem) zaczyna w punkcie zetknięcia z polem poruszać się ruchem wirowym. Gaszę świecę. Odległość w przestrzeni «neutrinnika» moim zdaniem nie odgrywa roli”.

„Jestem przekonany, że możliwości mózgu są nieograniczone. Potrzebny jest tylko trening i określona aktywizacja. Nadejdzie czas, gdy człowiek będzie liczył w pamięci lepiej od jakiegokolwiek maszyny do liczenia, będzie mógł w ciągu paru minut przeczytać i przyswoić sobie cały księgozbiór...”

„To jest strasznie męczące. Głowa pęka. Czasem mogę pracować tylko pod stałym naświetlaniem i pod koniec jestem cały zlany potem. Byle się nie naderwać. Dziś będę pracował z zapałkami”.

Na tym kończyły się notatki Komlina.

Inspektor siedział z przymkniętymi oczami i myślał o tym, że idea Komlina może przynieść wspaniałe rezultaty. Ale to wszystko sprawa przyszłości, a na razie Komlin leży w szpitalu.

Inspektor otworzył oczy i spojrzenie jego padło na kawałek papieru milimetrowego: „...z tymi zwierzętami — małpami i psami — nic nie wyjdzie. Trzeba samemu” — przeczytał. A może Komlin ma rację?

„Nie, nie ma racji. Podwójnie nie ma racji. Nie powinien był tak ryzykować — a już w każdym razie nie powinien był tak ryzykować w pojedynkę. Nawet wtedy, gdy nie mogą pomóc ani maszyny, ani zwierzęta (inspektor znów spojrzał na kawałek milimetrówki), człowiek nie ma prawa igrać ze śmiercią. A Komlin prowadził właśnie taką grę, I wy, profesorze Lehman, nie będziecie dyrektorem Instytutu, bo tego nie rozumiecie i zdaje się, że zachwycacie się Komlinem. Nie, towarzyszu, zapowiadam wam! Nie pozwolimy wam leżeć w ogniu. W naszych czasach możemy pozwolić sobie przymierzyć siedemdziesiąt siedem razy zanim odetniemy. W naszych czasach wasze życie jest dla nas droższe niż najbardziej imponujące odkrycia”. A na głos inspektor powiedział:

— Myślę, że można przystąpić do pisania aktu. Przyczyna nieszczęśliwego wypadku jest całkiem jasna.

— Tak, przyczyna jest jasna — odrzekł dyrektor. — Komlin naderwał się, próbując podnieść sześć zapalek.

*

Dyrektor odprowadzał inspektora. Wyszli na plac i wolno skierowali się do helikoptera. Dyrektor był roztargniony, zamyślony i absolutnie nie mógł dostosować się do powolnego utykania inspektora. Przy samym śmigłowcu dopędził ich Aleksander Gorczyński, rozczochrany i ponury. Inspektor uścisnął już rękę dyrektora i wdrapywał się do kabiny, co sprawiało mu wyraźną trudność.

— Stare rany dokuczają — mruknął gderliwie.

— Komlin czuje się znacznie lepiej — oznajmił półgłosem Gorczyński.

— Wiem — odparł inspektor sadowiąc się z westchnieniem ulgi.

Podbiegł pilot i pośpiesznie wspiął się na swoje miejsce.

— Napiszecie raport? — zapytał Gorczyński.

— Napiszę raport — odrzekł inspektor.

— Tak... — Gorczyński poruszył wąsikami, spojrzał inspektorowi w oczy i zapytał nagle wysokim tenorkiem:

— Powiedzcie mi, proszę, czy wy nie jesteście przypadkiem ten sam Rybnikow, który w sześćdziesiątym ósmym roku w Kustanaju, samowolnie, nie czekając na przybycie automatów, rozładował jakiś tam aparacik?

— Towarzyszu Gorczyński! — przerwał ostro dyrektor.

— Mielście wtedy jakiś przypadek z nogą...

— Gorczyński, proszę milczeć!

Inspektor nie odpowiedział. Zatrasnął mocno drzwiczki kabiny i usadowił się wygodnie w fotelu.

Dyrektor i Gorczyński stali na placu z podniesionymi głowami i patrzyli jak wielki, srebrzysty żuk ze słabym brzęczeniem przepłynął nad siedemnastopiętrowym białoróżowym wieżowcem Instytutu i zniknął w szafirowym, przedwieczornym niebie.

Przełożyła Janina Dziarnowska